

Władysław Edelman

BLIŹNIAKI

Po raz pierwszy spotkaliśmy się przypadkowo w dość dziwnej sytuacji. Skończył się spektakl w teatrze, podszedłem do wieszaka z płaszczami i zauważyłem, że jakiś gość nakłada moją kurtkę. Na zwróconą uwagę zareagował dość obcesowo, zaczął przekonywać, że to jego, mówił coś o żonie, że kazała ją wziąć. Dziwnie to zabrzmiało, bo w teatrze był sam. Podobnie zresztą jak ja. Moja żona była na wyjeździe służbowym, a ponieważ był to ostatni spektakl w tym sezonie, zdecydowałem się pójść bez niej. Gdzie była jego żona, nie wiem. W teatrze jej nie było.

Ostatecznie oddał mi moją kurtkę po tym, jak go przekonałem, że w jej wewnętrznej kieszeni znajdują się klucze do mieszkania. Klucze oczywiście były, a facet nawet mnie nie przeprosił.

Po pewnym czasie wydarzyło się coś podobnego. Znajomi zaprosili nas do restauracji na obiad, Marek dostał jakąś nagrodę kulturalną i wraz z żoną postanowili uczcić ten sukces razem z nami. Siedzieliśmy już w głębi sali, oczekując na ich przybycie, gdy nagle usłyszałem, jak Marek mówi do kogoś: o, dlaczego zajęliście inny stół, przecież zawsze siadamy... nagle przerwał, bo zorientował się, że podeszli do innych ludzi. Kiedy wstałem i dałem znać ręką, gdzie jesteśmy, zorientowałem się, że facet, którego Marek wziął prawdopodobnie za mnie, to ten od kurtki w teatrze.

Trochę mnie ta sytuacja zmroziła. Przez cały wieczór obserwowałem go dyskretnie. I miałem rację, bo kiedy po zapłaceniu rachunku wstał wraz ze swoją partnerką i podszedł do wieszaków, a trzeba dodać, że tu, podobnie jak w teatrze, nie było zwyczaju wydawania numerków, w pierwszej chwili zdjął mój płaszcz. Odwiesił go po tym, jak jego partnerka szepnęła mu coś do ucha. Kiedy oboje byli już gotowi do wyjścia, włożył na głowę mój kapelusz i szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Nie wytrzymałem. Halo, co pan robi, krzyknąłem, wstając gwałtownie od stolika, aż zadzwoniły kieliszki z winem. Dogoniłem go i zerwałem mu z głowy swoją własność. Nawet na to nie zareagował.

Swobodna dotąd atmosfera prysła. Przeprosiłem naszych przyjaciół za moje zdernerwowanie i zaproponowałem ciąg dalszy wieczoru u nas w domu. Zgodzili się chętnie, co mnie ucieszyło, musiałem się odprężyć, zrelaksować przy mocniejszym trunku. Zamówiliśmy taksówkę. Kierowca prowadził dość dynamicznie, wyprzedzał inne pojazdy, nie przekraczając jednak przepisów. Po chwili stwierdziłem, że jedziemy za tą właśnie parą z restauracji. Trudno było o pomyłkę, ona miała bardzo charakterystyczną, czerwoną fryzurę, na którą już w lokalu zwróciłem uwagę. Kiedy staliśmy

przez chwilę na światłach, zauważyłem też, że na tylnej półce ich samochodu leży mój kapelusz. To znaczy taki sam jak mój, a obok niego rozrzucone kolorowe tygodniki, takie, jakie czyta moja Małgosia.

Od tego momentu jechaliśmy cały czas za nimi. Oddalili się od naszej taksówki tylko na chwilę, a kiedy byliśmy już na miejscu, obok naszego samochodu stał ich. Tej samej marki, w tym samym kolorze, z taką samą tapicerką, z niemal identyczną tablicą rejestracyjną. Różniła się tylko końcową cyfrą.

Nie mogłem trafić kluczem do zamka, drzwi otworzyła Małgosia. Weszliśmy. Nasz dom to bliźniak, który odziedziczyliśmy po rodzicach Małgorzaty, taki z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, tak się kiedyś budowało. To drugie mieszkanie jest lustrzanym odbiciem naszego. Mieszkamy tu dobre trzydzieści lat i zawsze ta jego druga połowa była niezamieszkała. A tu proszę, coś się nagle zmieniło. Cóż, pomyślałem, stał wolny, ktoś się wprowadził, nie moja sprawa.

Małgorzata sprawdziła od razu, że w swoim pokoju śpi spokojnie nasz Piotr, dzielny dwunastolatek, który nie boi się zostawać sam w domu, kiedy czasem wychodzimy. Usiedliśmy w salonie. Druga część wieczoru nie przebiegła jednak tak, jak sobie zaplanowałem. Marek opowiadał o gali, na której wręczono mu prestiżową nagrodę, o swoich planach, my podzieliśmy się opowieściami o minionych wakacjach i planach na najbliższe. Rozmowa jednak się nie kleiła, mimo Metaxy, Jasia Wędrowniczka i dobrych zakąsek. Po północy nasi goście zamówili Bolta i pojechali do siebie.

Niedzielne poranki to w naszej rodzinie niemal święto. Celebруем wspólne śniadania, na które nie ma czasu w tygodniu. Pachnąca jajecznica na boczku lub jajka na miękko, czasem parówki, kawa, herbata, soki owocowe, świeże pieczywo i nasze rozmowy przy stole. Syn oczywiście zapytał, jak udało się spotkanie w restauracji. Ponieważ traktujemy go poważnie, opowiedziałem o wszystkim, co się stało. Zbladł i sięgając po coś na stole, wylał herbatę. Muszę wam coś opowiedzieć, rzekł drżącym głosem. Kilka dni temu moja wychowawczyni zapytała mnie, czy mam brata, bo tata podwoził do naszej szkoły chłopaka podobnego do mnie. Chodzi też do szóstej klasy, tylko B. Nawet dzieciaki mnie już o to pytały, bo chłopak jest nie tylko do mnie podobny, ale i ubiera się jak ja.

Zupełnie nie wiedzieliśmy, jak na to zareagować, sprawa tylko pozornie mogła wydawać się zabawna, nam nie było do śmiechu. Postanowiłem, że w poniedziałek po pracy zajdę do nowych sąsiadów. Odwiozłem syna do szkoły i po powrocie do domu zapukałem do drzwi. Nikt nie odpowiedział, chociaż stukalem i dzwoniłem dość długo. Nie mogłem nawet zajrzeć przez okna, były szczelnie pozasłaniane. Następnego dnia poszedłem do szkoły porozmawiać z wychowawczynią syna, może ona mi potrafi wyjaśnić tę sprawę. Nie potrafiła. Jest nowy uczeń, ale wie pan, ochrona danych, nic nie mogę więcej powiedzieć. Zdradziła tylko, że chyba jest chorowity, bo od dziś ma zwolnienie lekarskie i do końca szkoły już nie będzie chodził na lekcje. Sytuacja zrobiła

się patowa. Nasi bliźniaczy sąsiedzi zapadli się pod ziemię. Nie było ich samochodu, nie było ich w domu.

Przyszedł koniec roku szkolnego i zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami pojechaliśmy nad morze. Odpowiednio wcześniej wynająłem i opłaciłem na trzy tygodnie domek, do którego jeździmy prawie w każde wakacje. Właściwie piętro, parter zawsze stał pusty. Kiedy wnosiliśmy bagaże, właścicielka powiedziała, że tym razem będziemy mieli sąsiadów. Na parterze zakwaterowała się już miła rodzina. Też mają synka.

Przez kilka dni nie spotkaliśmy się, aż w któryś deszczowy dzień zamiast na plażę poszliśmy do świetlicy, w której były piłkarzyki, stół do bilarda, telewizor. Przed telewizorem siedziała jakaś para, nie widzieliśmy ich twarzy, chłopiec, pewnie ich syn, samodzielnie tłukł w piłeczkę, przechodząc raz na jedną, raz na drugą stronę stołu. Piotrek natychmiast do niego dołączył i aż do obiadu grali wspólnie. My spędziliśmy nawet dość miło czas, rozmawiając z sąsiadami na obojętne tematy czy wspominając minione wakacje. Kiedy pokazywali nam zdjęcia z Pragi, gdzie podobnie jak my byli dwa lata temu, odniosłem wrażenie, że na jednym z nich, gdzieś w tle, dostrzegłem naszą trójkę. Ale mogłem się mylić.

Po kilku kolejnych deszczowych dniach pogoda wróciła. Dzień był słoneczny, choć jednocześnie dziwnie mglisty. Postanowiliśmy pójść wspólnie na plażę, zabraliśmy niezbędny ekwipunek, koce, kremy, ręczniki itd. Chłopcy wzięli piłkę do siatkówki i biegając wokół nas, śmiejąc się, zachęcali do wspólnej zabawy.

Panie poszły przodem wybrać odpowiednie miejsce, zaczynał się tłok. I zdaje się, że wybrały jakiś zakątek, bo widziałem z daleka, jak rozkładają koce, układając na rogach torby, by wiatr ich nie porwał. Ludzi wciąż przybywało tak, że momentami traciłem je z pola widzenia. Mój sąsiad niósł zwinięty parawan, którym mieliśmy osłonić nasz grajdołek. Siedział cały czas za mną, opowiadając o samochodach, głos jego stawał się jednak wciąż słabszy, cichszy.

Obejrzałem się, nie było go. W oddali na piasku leżał porzucony parawan. Podniosłem go i za chwilę byłem już przy Małgosi, która kończyła właśnie porządkowanie ekwipunku. Kiedy osadziłem solidnie parawan, Małgorzata odkreśliła termos, nalała do kubeczków herbaty, którą wypiliśmy ze smakiem. Chłopcy wciąż biegali jak szaleni, rzucali piłką, wskakiwali do wody, wychodząc, tarzali się w piasku, by znowu zanurzyć się w Bałtyku. Czasami wpadali tylko na chwilę po kanapkę czy colę. Obaj mieli nadmiar energii, udało im się nawet wciągnąć nas do wspólnej zabawy. Całą czwórką zagraliśmy w siatkówkę. Jeden Piotrek ze mną, drugi z Małgosią.

Zbliżał się czas obiadu, uznaliśmy więc, że mecz zakończył się remisem, pozbieraliśmy rzeczy i wróciliśmy do domku. To był ostatni dzień urlopu. Chłopcy koniecznie chcieli rozegrać pożegnalny mecz w piłkarzyki, po obiedzie zasłaliśmy więc jeszcze z nimi do świetlicy. Kibicowaliśmy i śmialiśmy się wszyscy, zadowoleni z udanego urlopu.

Małgosia dzień wcześniej uporządkowała rzeczy, pakowanie nie trwało więc długo. Pożegnaliśmy się z gospodynią, obiecując, że za rok znów przyjedziemy. Nie czekając na kolację, wyjechaliśmy. W jednym samochodzie ja z Piotrusiem, w drugim Małgorzata z Piotrkim.